

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marii Starezewskiej.

TOM II

— Kąpiel w Kons nie ma z tem nic wspólnego. Co do porażenia słońcem... nigdy go nie doznałeś. Zaczęłeś się czuć niedobrze... czy nie tak?... wkrótce po odpłynięciu.

— Tak.

— Czy cię nigdy nie uderzyło, że młody człowiek jak ty, cieszący się doskonałym zdrowiem, żyjący na otwartym powietrzu w jednym z najlepszych klimatów na świecie, może zapaść na tajemniczą chorobę?

— Tajemniczą?

— Czyż nią nie była?

— To bardzo dziwne rzeczywiście. Zawsze to myślałem.

Pochylił się trochę utkwivszy oczy w Isaacsona.

— Jaką była moja choroba?

— Zatrucie ołowiem — rzekł Isaacson zwolna z wysiłkiem.

— Ołowiem?... Nigel pochylił się więcej naprzód... — zatrucie ołowiem?

— Tak.

— Zostałem... mówisz, że zostałem zatruty ołowiem?

— Zatrutowany dzień po dniu, stopniowo przez znaczny przeciąg czasu.

— Otruty!

Nigel powtórzył to słowo ciężko, prawie ponuro.

— Gdybym nie był w porę przyjechał, byłbyś niewątpliwie zabity.

— Zabity! Lecz... lecz kto na Boga chciałby mnie zabić?

Isaacson milczał.

— Kto chciałby mnie zabić? — powtórzył Nigel.

Tym razem nuta gwałtowności brzmiała w jego głosie.

— Był ktoś na Lonli, kto pragnął twojej śmierci.

— Ale kto?... Kto? Nubijczycy? Ibrahim? Hanza?

Isaacson nie odpowiadał. Nie mógł odpowiedzieć w tej chwili.

— Postępowałem z nimi dobrze. Płaciłem dobrze, mieli wszystko, czego im było potrzeba. Mieli łatwe życie. Wszyscy oni zdawali się nas lubić. Lubili nas, wiem, że lubili.

— Nie mówię, że nie.

— A więc co chcesz powiedzieć? — Nie było nikogo więcej.

— Owszem, był jeszcze ktoś.

— Był. A zatem nigdy go nie widziałem! Czy chcesz powiedzieć, że ktoś się ukrył w łodzi? Co ty rozpowiadasz, Isaacson?

Gniew zaczynał go coraz więcej podniecać. — Armine, wynagrodzenie, którego żądam, jest to: nie chcę ciebie wyleczyć i pozostawić tutaj w Egipcie. Chcę zabrać cię z sobą.

— Zabrać mnie? Dokąd?

— Napowrót do Anglii.

— Wróćmy do Anglii jak tylko nabiorę sił. Lecz nie powiedziałaś mi. Mówisz, że zostałem otruty. Chcę wiedzieć przez kogo?

* * *

— Ale może sam nie wiesz? Wiesz?

Isaacson wstał. Nie mógł usiedzieć.

— Jeżeli chcesz mi się wywdzięczyć, pozwól, mech cię spokojnie zabiorę... Jestem lekarzem. Nikomu nic na myśl nie przyjdzie. Nie potrzebuję mówić więcej.

— Zabrać mnie! Ale jestem prawie zdrow i nie może być mowy o niebezpieczeństwie.

— Jeżeli pojedziesz ze mną... nie.

— Ale zapominasz, że nie jestem sam. Muszę się naradzić z moją żoną.

— Tego właśnie sobie nie życzę.

— Nie życzysz! Chcesz, żebym pojechał bez... Bez Mrs. Armine.

— Opuścić moją żonę?

— Tak.

— Dlaczego?

— Isaacson milczał.

Nigel patrzył na niego przez chwilę, która się wydała doktorowi strasznie długą. Poczem twarz Nigla zaczęła się czerwienić. Żył wysia-

piły mu na czoło, lecz wnet krew spłynęła ukazując straszną bladłość i wpadnięte oczy.

— Ty... śmiesz myśleć... ty śmiesz... mówić... — jękał.

— Mówię, że musisz opuścić Mrs. Armine. Nie pytaj się mnie dlaczego!

— Ty... ty kłamco! Ty przekłety kłamco!

Mówił zwolna niskim przytłumionym głosem.

— Że jej nienawidziłeś... wiedziałem o tem! Powiedziała mi. Lecz... że... że... się ośmielasz...

Głos mu się załamał i umilkł. Pochylił się wyciągając rękę.

— Wychodź! — rzekł — Wychodź! Gdybym... gdybym był sobą, wyrzuciłbym!

— Lecz Isaacson się nie ruszył. Nie czuł gniewu, lecz tylko wielką ilość dla tego człowieka, który nie mógł dostrzedz, nie mógł zrozumieć prawdy o kobiecie, z którą tak długo żył, jak mu się zdawało, w doskonałej jedności. Było coś bolesnego w tem zaślepieniu, lecz i pięknego także.

— Jeżeli mam wyjść, musisz mnie wprzód wysłuchać — rzekł.

— Nie chcę słyszeć... ani słowa.

I znowu wskazał mu drzwi.

— Uratowałem ci życie — rzekł Isaacson — i musisz mnie wysłuchać.

I bardzo spokojnie, bardzo stanowczo, z wielką prostotą powiedział mu, co miał do powiedzenia. Nawet teraz nie mówił wszystkiego. Zamilczał o bytności Mrs. Chepstow w jego konsultacyjnym gabinecie. Nie wspominał o Barondim. W tej chwili kryzysu, człowiek urodzony w Anglii zwalczył w Isaacsonie wschodniego żyda. Lecz opowiedział swoje wizyty w Savoy: jak ostatnim razem poszedł do niej, chcąc ją skłonić do zaniechania podróży do Egiptu; jak zaczął o tem mówić, lecz jej zimna, pogodna i bezlitosna ironia ukazały mu bezużyteczność tego kroku. Przeszedł do późniejszego czasu po małżeństwie i wyjeździe, kiedy otrzymał list, w którym jego przyjaciel opisywał swe szczęście i doskonale zdrowie, a wkrótce po tem pacyenika jego pisała o niezwykle kolorze cery Nigla.

Powiedział mu, jak w Londynie położył oba listy jeden obok drugiego i porównywał je, i jak w przeczuciu czegoś złego, silny instynkt zaprowadził go prawie wbrew jego woli do Egiptu i nakazał zachować ten przyjazd w tajemnicy. A później na tarasie u Shepharda przypadkiem spotkany znajomy powiększył jego obawy. I tak w krótkich treściwych wyrazach doszedł do spotkania w świątyni w Edfu. Od tej chwili nie oszczędził Niglowi żadnego szczegółu. Powiedział o widocznym przerażeniu Mrs. Armine na jego widok, jej kłamstwa, jej zamilczenie, o chorobie męża aż zmiarkowała, że on... Isaacson... słyszał już o niej w Luksorze; jej wmawianie, że to tylko chwilowe niedomaganie spowodowane zmarnowaniem po śmierci lorda Harwich; jej usiłowania, ażeby Isaacson nie przybył na Lonli, list, który mu przysłała, jego nocną wędrówkę brzegiem Nilu aż do tarasu do łodzi, jak ich podsłuchana rozmowa skłoniła go do nastawienia na widzenie się z Niglem, widzenie się z Mrs. Armine w salonie i jak przemocą prawie dotarł do chorego. Następnie opowiedział sprzeczkę z doktorem Harliley'em, podmówionym przez Mrs. Armine i jak ostatecznie zwyciężył... a zwyciężył groźbą, która mogła przestraszyć tylko winną kobietę.

— Powiedziałem Mrs. Armine, że albo wezmę kurację w moje ręce, albo dam znać policyjnym władzom. Wtedy dopiero ustąpiła.

— Jak mogłeś wiedzieć? — zawołał Nigel z niezmierną goryczą, kiedy Isaacson wreszcie skończył mówić. — Nawet gdyby to była prawda, jak mogłeś wiedzieć?

— Nie wiedziałem: podejrywałem. Choroba była spowodowana zażywaniem przez dłuższy przeciąg czasu minimalnych ilości ołowiu... tak minimalnych, że może nie do odroźnienia od piasku, który przynosi wiatr pustyni. Mrs. Armine, albo sama je tobie podawała, albo czyniła to za czyjś pośrednictwem.

— Kłamco! Kłamco!

— Czy sama podawała ci pokarm? Czy przygotowywała kiedy kawę?

— Nigel wyprostował się w fotelu w gniewnym paroksyźmie energii.

— Wychodź! Wychodź! — wołał strasznym, zdławionym głosem. Twarz jego była żółto-biała. Wargi mu drżały.

— Na Boga, wyrzucę cię precz!

— Opierając się o fotel wstał i postąpił do Isaacsona.

— Idę, lecz zostawiam to!

Isaacson wyjął z kieszeni list, który Mrs. Armine przysłała mu na Fatmę i położył go na stoliku.

Poczem odwrócił się i wyszedł przez ciemny ogród.

Uszedłszy kilkanaście kroków spojrzał po za siebie i zobaczył Nigla, który padł na krzesło.

Z zachodniego brzegu Nilu dochodziły przenikliwe, choć przyciszone dźwięki piszczałek, głuche uderzenia dasabukkeh i nosowy śpiew Nubijczyków.

Światła na Lonli były podobne do rzędu płomiennych oczu spoglądających po przez Nil.

XXI.

Kiedy Mrs. Armine wsiadła w Luksorze do wagonu, usłyszała świst lokomotywy, uczuła wolny z początku, potem co.az szybszy ruch pociągu, zobaczyła znikające z oczu domy i włoski, ujrzała długą płaszczyznę i rysujące się twardo i wyraźnie w wieczornym świetle łańcuchy gór po prawej i lewej stronie, miała chwilę prawie dzikiej radości, jak ktoś, kto niespodzianie uszedł wielkiego niebezpieczeństwa.

Nareszcie była sama, zdala od oczu, patrzących na nią z miłością, a także od oczu, które na nią spoglądały może z groźnym podejrzeniem, nawet z nienawiścią.

Jak mogła wytrzymać tak długo? Dziwiła się samej sobie i nie wiedziała nawet, skąd brała na to dość siły. Lecz pomimo radości, czuła, że nerwy jej są poszarpane. Tylko szczęście mogłoby ją uspokoić. Musi mieć życie, którego pragnęła, i musi je mieć teraz. Inaczej, byłoby po niej. Czy będzie je miała?

Wkrótce radość minęła i opanowała ją znowu obawa.

Nawet jeżeli zastanie Barondi'ego w Kairze, jakie przyjęcie ją czeka?

Niespokojną ręką wyjęła z neseseru pozłamaną szkatułkę, którą jej podarował i otworzyła. Lecz otworzywszy nie śmiała spojrzeć w lustro. Zamknęła, schowała ją na dawnym miejscu i oparła się w kącie przedziału.

— Nie chcę o tem myśleć — rzekła sobie — nie chcę się dreczyć. Muszę spać. Muszę wyglądać jak najlepiej jutro. Wszysko może teraz zależeć od tego, jak będę wyglądała przybywszy do Kairu.

Wkrótce się położyła i zamknęła oczy z silnym postanowieniem, że będzie spała.

Lecz naturalnie sen nie nadchodził. Z początku leżała spokojnie, później zaczęła się niecierpliwie. Długie ciemne godziny przechodziły jedna po drugiej i pierwsze blade promienne światła wkradły się do wagonu. Znużona kobieta, która przez całą noc przewracała się z boku na bok, siadła opierając się o poduszkę, z uczuciem, że prawdopodobnie nowa zmarszczka ukazała się na jej twarzy i że jest brzydsza, niż dnia poprzedniego.

Kiedy pociąg stanął w Kairze spuściła welon, wysiadła i pojechała do Shepharda. Znała adres, pod którym mogła znaleźć Barondi'ego, jeżeli był w Kairze i zaraz po przybyciu siadła i napisała do niego po francusku:

„Shepherd Hotel. Czwartek rano.

Przyjechałam do Kairu po sprawunki. Czy mogę z panem się widzieć? Jeżeli tak, proszę mi dać znać gdzie i kiedy? Ruby Armine.

Zakleiła kopertę i kazała służacemu, żeby natychmiast wysłał list przez posłańca. Zamówiła kawę i wzięła kąpiel. Jakżeby pragnęła mieć z sobą zreczną pokojową! Ledwo poznała siebie w lustrze. Zamiast wyglądać młodziej, zdawało się, że wygląda o wiele, wiele starszej, niż była. Lecz była po nocnej podróży, a każda kobieta wygląda starszej po nocnej podróży. Wróciła do normalnego wyglądu jak odpocznie. Przeszła do saloniku, kazała sobie przynieść dzienniki i położyła się na sofie. Każdej chwili oczekiwała powrotu posłańca. Przyszedł nareszcie.

— Przyniosłeś list? — zapytała, podnosząc się na sofie.

Posłaniec odrzekł, że nie. Ten pan nie był w domu.

— Zostawiłeś mój list?

— Tak, ma'am.

— Możesz odejść. Pójdź tam znowu o dwunastęj zobaczyć, czy ten pan wrócił. Może przyjdzie na lunch.

(Ciąg dalej nastąpi).